

Trudno się dziwić, że to akurat rektorzy najostrzej wypowiadali się na temat zmian proponowanych przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Nie kierowała nami jednak chęć walki o utrzymanie *status quo*, o zachowanie „przywilejów”, czy „lęk przed konkurencyjnością”, jak to wskazywali niektórzy uczestnicy debaty publicznej, która przetoczyła się w ostatnich tygodniach w naszym kraju. Prawie pięć lat doświadczenia na stanowisku rektora największej uczelni w Polsce daje mi pewną wiedzę, której osoby które nie zarządzały nigdy szkołą wyższą, siłą rzeczy mieć nie mogą. Zarządzanie uczelniami to niestety często tor przeszkód. A co gorsza, te przeszkody wynikają głównie z niespójnych, niekonsekwentnych, a czasem po prostu absurdalnych rozwiązań prawnych funkcjonujących w naszym kraju. Przyglądając się więc zmianom proponowanym przez ministerstwo, rektorzy chcieli przede wszystkim przeciwdziałać wprowadzeniu kolejnych rozwiązań, które zamiast pchnąć polskie uczelnie do przodu, wcisną je w jeszcze ciaśniejszy gorset. A o tym, że gruntowna, ale i przede wszystkim przemyślana reforma nauki i szkolnictwa wyższego jest niezbędna, rektorzy mówili od dawna.

Dla mnie wartością jest już to, że wokół spraw szkolnictwa wyższego zapanowało poruszenie, powstał ożywczy ferment. Pani minister – mówiłam to już na grudniowym posiedzeniu KRASP, gdy przedstawialiśmy naszą strategię – tak nas „zdenerwowała”, że wzięliśmy się do pracy. Za to sformułowanie zresztą pani minister trochę się na mnie pogniewała, ale na szczęście na krótko. Ale to był fakt. Rzeczywiście chcieliśmy przedstawić problemy szkolnictwa wyższego oczami osób to środowisko reprezentujących. Natomiast po tej drugiej strategii, która została zamówiona przez ministerstwo, zupełnie czego innego się spodziewamy i spodziewaliśmy, a mianowicie spojrzenia na nasze problemy z zewnątrz. „Środowiskowość” pierwszej strategii nie jest ani jej wadą ani zaletą. Jest charakterystyką sposobu jej przygotowywania. Tak samo jest i z tą drugą strategią. Inny był sposób jej przygotowania i forma jej zamówienia, ale to ani nie dodaje jej wartości ani nie ujmuje.

Jeżeli chodzi o same zmiany – to tak naprawdę najważniejszą zmianą, jaka w tej chwili nas czeka, to wprowadzenie, zainicjowanych przez UE, krajowych ram kwalifikacji. One przestawią uczelnie na zupełnie nowe tory, dadzą szkołom wyższym ogromną autonomię. Powinniśmy się do tego przygotować, by proces ich wprowadzenia przebiegł jak najlepiej.

Mimo oporów i protestów społecznych, takich jakie miały miejsce ostatnio np. w Austrii, większość krajów w Europie decyduje się na wprowadzenie współfinansowania. Dla mnie potrzeba wprowadzenia opłat za studia wynika nawet nie tyle z konieczności szukania nowych źródeł finansowania, choć i to jest niezbędne, ile przede wszystkim z potrzeby uporządkowania istniejącego systemu. W tej chwili 60% studentów w Polsce

płaci czesne. Pozostali studiują za darmo. Paradoks polega na tym, że w tej ostatniej grupie są głównie mieszkańcy większych miast, którzy skończyli lepsze szkoły i pochodzą z domów o wysokim kapitale kulturowym. Płacą zaś za studia przede wszystkim osoby z mniejszych ośrodków i biedniejszych rodzin. Czy to jest w porządku?

Zależałoby mi na tym, aby wreszcie stało się dla wszystkich jasne, że wyższe wykształcenie jest inwestycją, która daje szansę na lepsze życie - przynajmniej w wymiarze materialnym – dlatego studia powinny być współfinansowane. Oczywiście wprowadzenie odpłatności powinno być poprzedzone stworzeniem nowego systemu kredytów studenckich i efektywnego systemu stypendialnego. Można zwolnić z opłat najlepszych; tych, którzy powinni studiować, a nie mają pieniędzy; studentów kierunków, na których państwu będzie szczególnie zależało, albo z regionów, w których podnoszenie poziomu kształcenia jest szczególnie istotne.

Gdy widzę uczelnie niepubliczne, które walczą o pieniądze z dotacji budżetowych, to mnie ogarnia pusty śmiech. Życzę wszystkim uczelniom niepublicznym, żeby dostały choć trochę pieniędzy z budżetu i zostały poddane reżimowi wynikającemu np. z ustaw o finansach publicznych i zamówieniach publicznych. Dopiero wtedy przekonają się, co jest lepsze.

Moim marzeniem jest, żeby Uniwersytet Warszawski miał swój *endowment*, swój majątek; żeby był uczelnią, która może z procentów finansować stypendia i badania naukowe. Niestety to marzenie się nie ziści. Na tym etapie rozwoju naszego kraju jest to po prostu niemożliwe. Ale jeżeli mówimy o rozmaitych rankingach, to musimy popatrzeć na pierwsze miejsca – zajmują je głównie amerykańskie uczelnie niepubliczne. Dlaczego o tym mówię? Dlatego, że aby rzeczywiście coś można było zmienić, trzeba połączyć efektywność zarządzania z zapewnieniem uczelniom autonomii działania i samorządności. To był główny cel autorów strategii środowiskowej. I jeszcze jedna rzecz, szalenie ważna, to dywersyfikacja rynku edukacyjnego. Inaczej trzeba traktować (i finansować) uczelnię, która ma ambicję być uczelnią badawczą, a inaczej wyższą szkołą zawodową, która ma kształcić absolwentów głównie na potrzeby lokalnego rynku pracy.